

JAZZOWE ANIOŁY W BIELSKU-BIAŁEJ

Czytelnicy miesięcznika Jazz Forum, autorzy rankingu sceny jazzowej w naszym kraju uznali za najlepszy festiwal ubiegłego roku Bielską Zadymkę Jazzową czyli Lotos Jazz festiwal 2011. Zawiesili tym samym przed organizatorami wyjątkowo wysoko poprzeczkę oczekiwań. Czy jego XIV edycja była równie udana co poprzednia a organizatorzy sprościli wyzwaniu środowiska jazzowego? Warto poświęcić temu zagadnieniu chwilę refleksji.

JAZZU DZIEŃ PIERWSZY

Festiwal rozpoczął koncert kwintetu Adama Bałdycha, reprezentanta młodej wiolinistyki. Zawierał materiał z płyty *Magical Theatre* oraz kompozycje powstałe z myślą o płycie, przygotowywanej dla monachijskiej wytwórni ACT. Koncert otworzyła solowa introdukcja lidera przeniknięta elegijnym rysem i nacechowana klasyczną retoryką. Melancholijny nastrój najlepiej określa charakter artysty, mimo że jego znakiem rozpoznawczym wydają się być energetyczne pasaże i zagęszczone faktury kulminacji. Skrzypek z rozmachem kształtował melodie, jego narracja rozwijała się płynnie w oparciu o liryczny ton. W solowych prezentacjach, póki logika narracyjna trzymała w ryzach wyraz emocjonalny wrażenia były wyjątkowe, gdy jednak zaczynała się galopada fraz, a pasaże nabierały ekstatycznej ekwilibrystyki myśl muzyczna zaczynała się rwać i pojawiało się zagrożenie improwizacyjnego schematu. Ciekawie prezentowało się wsparcie skrzypcowej barwy brzmieniem saksofonu tenorowego. Te interakcje były załączkiem intrygującego dialogu i piękna współbrzmień w unisonach. Saksofonista Maciej Kociński zasługuje zresztą na szczególne wyróżnienie. Logika narracji, nasycone brzmienie, energetyczność oraz kontrola, sprawiły, że udało mu się ominąć mielizny, na jakie wiedzie zbytnia swawola. Prawdą jest, że formuła mainstreamu inspirowanego klasyką jak i tradycją etno, może trafiać do szerszych kręgów słuchaczy. Zwłaszcza gdy znajduje się w niej miejsce dla innowacji. W tym przypadku dyskretnie stosowanej elektroniki. Mnie jednak nie zdołała przekonać. Powód? Długi koncert zatracił wewnętrzną dramaturgię, a pod koniec najzwyczajniej nużył.

Kwintet skrzypka wystąpił w ramach prezentacji „Nadzieje jazzu”. Drugi koncert pierwszego dnia festiwalu nosił nazwę „Geniusze Jazzu”. Na scenę wkroczył duet saksofonisty Archie’ego Sheppa z pianistą Joachimem Kuhnem. Zaprezentowany przez nich materiał muzyczny oparł się głównie na kompozycjach z płyty „WO!MAN”. Występ poprzedziła uroczystość wręczenia tenorzyście nagrody Jazzowego Anioła. Obaj artyści to twórcy od dekad obecni na światowych scenach i z powodzeniem i pasją oddający się najróżniejszym muzycznym i personalnym interakcjom. Ich bielski dialog posiadał cechy fuzji europejskiej, intelektualnej introspekcji i amerykańskiej żywiołowej frenezji. Tak więc żelazna logika harmonicznym struktur stała się fundamentem wspierającym swobodną improwizację sięgającą otwartych przestrzeni free-jazzowej retoryki. Monumentalne akordy fortepianu spowijały improwizowane frazy tenoru, ekstatyczne, pełne blasku i surowego piękna. Pozornie skupieni na sobie, introwertyczni, tworzyli fascynujący amalgamat i razem już snuli hipnotyczne opowieści. Był blues, nawiązania do wielkich jazzowych Ladies, Billie Holiday i

Niny Simone, pulsowały swingiem standardy Duke'a Ellingtona czy Benny'ego Golsona. Była brawura, ale też ascetyczna powściągliwość. Był Archie Shepp, który nie tylko gra jazz, ale jest też jego uosobieniem.

JAZZU DZIEŃ DRUGI

Kolejną „Nadzieją Jazzu” okazał się amerykański trębacz Ambrose Akinmusire - triumfator konkursu Theloniusa Monka z roku 2007. W czwartkowy wieczór na scenie klubu Klimat muzyk wystąpił w kwintecie prezentując kompozycje z wydanej przez Blue Note płyty *When the Heart Emerges glistening*. Koncert rozpoczął się od efektownego solowego intro lidera i od razu było wiadomo, że Ambrose i ambrozja to określenia pokrewne nie tylko lingwistycznie. Akinmusire ciepłym tonem swej trąbki łączył ascetyczne frazy z żywiołowymi pochodami, pełnymi energii i blasku. Wirtuozeria sąsiadowała z wyjątkową kulturą i erudycją muzyczną. Walter Smith III – tenorzysta, z powodzeniem próbował dotrzymać kroku liderowi. Wypowiadał się stylowym, tonem „starej szkoły” z retoryczną elegancją tworząc narrację z jednej strony rozwibrowaną, impresjonistyczną, z drugiej pełną ekspresyjnej gwałtowności. Obaj muzycy prowadzili nieustanny dialog, a współbrzmienia partii unisono uwodziły naturalnym pięknem. Na równie wysokim poziomie była gra sekcji rytmicznej. Wzorowy timing, kolorystyczne niuansy i powściągliwość perkusisty Scotta Kendricka spletał się z pełną polotu gra kontrabasisty Matta Brewera, a wszystko to doprawione zostało skupioną, subtelną barwowo pianistyką Sama Harrisa. Materiał muzyczny to właściwie osobny temat. Inwencja kompozytorska i aranżacyjna, a także wewnętrzna dramaturgia poszczególnych utworów mogły budzić najwyższe uznanie. To był głęboki ukłon w stronę tradycji lat 60. z wyrazistym witalnym rysem nowoczesności.

Czwartkowy finał wieczoru odbył się pod enigmatycznym tytułem „Klimaty Jazzu”. W tej pojemnej formule zaprezentowała się zdobywczyni Grammy, hiszpańska wokalistka Concha Buika, której artystyczne emploi opierało się na zderzeniu ekspresji śpiewu flamenco z jazzem. Nie bez znaczenia był więc udział amerykańskiego klawiszowca Scotta Kinsey'a, bądź co bądź spadkobiercy syntezy koncepcji Joe Zawinula. Natomiast o brzmieniowe zakorzenienie w rytmach flamenco dbał grający na cajon Ramon Suarez. W takich muzycznych ramach rozbrzmiewał śpiew Buiki, którym afrykańskie zaśpiewy przeplatały się z melorecytacją. Śpiewaczka ze zwinnością cyrkowego artysty żonglowała stylistykami, ale jej potężny głos tak naprawdę nie zadomawiał się w żadnej z nich. Służył tylko sobie, powracając raz to echem ekspresji flamenco, kiedy indziej podejmując nieśmiało próby śpiewu scatem. Jazz tylko na chwilę pojawił się wraz z wykonaniem *Throw it away* Abbey Lincoln, ale jazzowa okazała się niestety tylko decyzją repertuarowa. Dziwił także wybór *Ne me quitte pas* Jacquesa Brela jako hołdu dla... Edith Piaf. Cóż, licentia poetica. I być może to właśnie jest klucz do zrozumienia artystycznej postawy Buiki, która w swoim teatrze piosenki czuje się jak ryba w wodzie. Tego niestety nie można było już poweidzić o akompaniującym jej Scotcie Kinseyu. Uwikłany w dźwięki imitujące gitary, bas, afrykańskie bębny, elektroniczne modulacje głosu, brzmienia fusion, funkowe rytmy wydawał się muzycznie niemal bezradny. Pytanie, czy recital Buiki wniósł coś ożywczego w formułę festiwalu? Wątpię. Czy otworzył przed wierną publicznością artystki jazzowe przestrzenie? Chyba również nie. Czemu więc miał służyć? Pytanie pozostaje otwarte.

JAZZU DZIEŃ TRZECI

Za to niewątpliwie propagowaniu jazzu służyły koncerty otwarte. W obszernym hallu Galerii handlowej *Sfera*, rozgościła się profesjonalna scena, na której studenci Wydziału Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach próbowali przekonywać do swojej muzyki przypadkowych słuchaczy. Czy im się to udawało, trudno orzec ale ważne, że ziarno zostało rzucone zwłaszcza w sytuacji, gdy jazz uważa się powszechnie za muzykę trudną.

Na młodych jazzmanów czekał jeszcze konkurs towarzyszący festiwalowi. Tegoroczna edycja zgromadziła rekordową liczbę 33 tzw. „podmiotów wykonawczych”. W piątkowe popołudnie aula Bielskiej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej gościła na swej scenie finalistów konkursu. Ze względu na wysoki poziom zespołów szacowne jury pod przewodnictwem Marii Schneider stanęło przed trudnym wyborem. Jako pierwszy wystąpił Big Band Mateusza Walacha, w którego składzie nagrodzono Wojciecha Lichtańskiego, saksofonistę i autora kompozycji. Kolejna prezentacja radykalnie odmieniła muzyczny klimat. Tym razem uznanie jury zdobyli dwaj członkowie jazz-rockowego kwartetu Fusion Generation Project - nagrodzeni za indywidualność basista Łukasz Jan Józwiak i perkusista Krzysztof Kwiatkowski. Następnym występem to kolejna zmiana nastroju. Klasyczne trio fortepianowe Dariusza Dobroszczyka nagrodził Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdan Zdrojewski. Grono finalistów dopełniało Interplay Jazz Duo i to oni zyskali największe uznanie jury. Jazzowa kameralistyka pianisty Kamila Urbańskiego i basisty Jędrzeja Łaciaka to zjawisko unikatowe, a główna nagroda Bielskiej Zadymki - profesjonalny debiut fonograficzny z pewnością pomoże im przetrwać na trudnym polskim rynku muzycznym.

Wieczorem festiwalowy środek ciężkości ponownie przesunął się na scenę klubu Klimat gdzie po sześciu latach od zadymkowego debiutu wystąpił francuski zespół No Jazz - acid jazzowe combo o kabaretowym zabarwieniu. Autoironiczne gesty, sceniczna zgrywa stanowiły pełnoprawne składniki ich show. Kolorowe stroje, ruch sceniczny parodiujący taneczne układy boys bandów wzmacniały pierwiastek komiczny. No Jazz to melanz tanecznych bitów elektro, latynoskiej sekcji dętej, egzotycznych perkusjonaliów, funkowego groove'u i ambientowych teł. To karkołomny misz-masz, beztroška fuzja. Właśnie fusion to kluczowe określenie wiążące tę muzykę z jazzem, tym bardziej, że ich pierwszą płytę produkował legendarny Teo Macero. Dynamiczną rozpiętość ich występu otwierał łagodny funkowy trans szerokich syntezatorowych fraz, zapętlonych dźwięków, „fruwających” sampli. Dopełniały zaś karkołomne kulminacje elektronicznego multi-kulti rozpięte na ramach orientalnych barw i afrykańskich podziałów rytmicznych wypełnionych rapowaną frazą wokalu. Najwięcej jazzowej retoryki wnosili członkowie sekcji dętej: saksofonista Philippe Selam i trębacz Sylvain Gontard. Nieokiełznani w potocznych dialogach, w unisonach zachowywali post-bopową dyscyplinę i elegancję mainstreamowych wyjadaczy. Bez względu na odcień stylistyczny, energetyczne rytmy stawały się hipnotycznie wciągające. Nic dziwnego, że na widowni po raz pierwszy nie było krzesel. Nie było, ponieważ quasi jazz Francuzów, zelektryfikowaną cyrkową przewrotką wracał do korzeni, angażował emocje i wciągał... w taneczny wir. Klubowy dance floor powrócił do swego pierwotnego przeznaczenia, nawet

wówczas, gdy królowały na nim tradycyjne rytmy zachodniej Afryki czy archaiczne boogie-woogie. No Jazz, to fakt pokazał jazzową twarz, ale zawoalowaną rozległą siatką zapożyczeń. Nie sposób odmówić ich widowisku pomysłowości, ale też w kategoriach czysto muzycznych trudno byłoby obronić dobrą ocenę całego show.

JAZZU DZIEŃ CZWARTY

Festiwalowy weekend przywitał miłośników jazzu w nobliwym wnętrzu Teatru Polskiego. W sobotni wieczór miał tu miejsce koncert galowy. Po krótkim fortepianowym wstępie Katarzyny Musiał zawierającym fragmenty *Tańców argentyńskich* Ginastery rozpoczął go występ triumfatorów festiwalowego konkursu – zespołu Interplay Jazz Duo. Subtelna i kunsztowna kameralistyka jazzowa potrafiła oczarować i skupić na sobie uwagę licznie zgromadzonej publiczności. Intuicyjne porozumienie i wielka kultura muzyczna sprawiły, że współpraca muzyków robiła wrażenie organicznie spójnej. Wyrazowo koncepcja duetu przywoływała poetykę dialogu pianisty Billa Evansa i kontrabasisty Scotta La Faro i klimat jego nagrań z Jimem Hallem. Nie mniej myśl i wrażliwość gigantów jest w rękach Interplay Jazz Duo rozwinięta i wzbogacona słownictwem współczesnego jazzu. Pianistka Urbańskiego, osadzona w tradycji muzyki klasycznej, impresyjna, pełna jasnych barw urzekła nostalgicznym pięknem. Osnowa drobiazgowej narracji basisty kunsztownie oplatała partie pianisty. Akustyczna gitara basowa Łaciaka zachwycała delikatnym dźwiękiem, chwilami bliska brzmieniu gitary klasycznej odwoływała się do klimatu duetów Evansa z Jimem Hallem. Homogenicznie spójna koegzystencja muzyków na scenie, ich ujmująca naturalność przysporzyła im zapewne tego wieczoru nowych zwolenników. Muzycy duetu rozpoczynają dopiero swoją jazzową karierę, bohater następnego koncertu spogląda na nią z 45-letniej perspektywy. Andrzej Zubek, dostojny jubilat, w 1967 roku wraz ze swym zespołem dał pierwszy jazzowy koncert w Bielsku-Białej. Związany z tą muzyką do dziś, świętował jednocześnie 40-lecie pracy dydaktycznej i 35-lecie prowadzenia Big Bandu Akademii Muzycznej w Katowicach. W „prezencie” dla jubilata organizatorzy festiwalu zgromadzili na scenie po raz pierwszy od pamiętnego koncertu jego kwartet i zaprosili muzyków do sentymentalnej podróży w lata debiutu ich formacji. Lider opromieniony blaskiem otrzymanego przed występem medalu Gloria Artis z elegancją poprowadził trójkę swych przyjaciół do pełnego wzruszeń i emocji okazjonalnego come back. Kompozycje rozpięte na schemacie: ekspozycja tematu – sekwencja solówek – reprzyza tematu przeplatały ze sobą nastroje zadumy i zabawy. Solowe popisy trębacza Bogusława Skawiny spotykały się z nasyczonymi brzmieniowo, przejmującymi frazami kontrabasisty Bronisława Suchanka. Nad rytmem czuwał Kazimierz Jonkisz. W trakcie ostatniego utworu do kwartetu dołączyła Silesian Jazz Orchestra – festiwalowy zespół Marii Schneider. Zubek zamienił fortepian na pulpit dyrygenta i żywiołowym finałem podsumował udaną prezentację jazzowych evergreenów.

Po przerwie Silesian Jazz Orchestra już w podstawowym składzie dostała się we władanie Marii Schneider – band liderki nr 1 w świecie orkiestrowego jazzu. Kompozytorki i aranżerki o niespotykanej inwencji i genialnym wyczuciu możliwości orkiestry. Wszystkie te przymioty

sprawiły, że organizatorzy festiwalu po raz drugi w tym roku sięgnęli po statuetkę Jazzowego Anioła. Trudno byłoby o bardziej trafny wybór bo Maria Schneider to fenomen, który sprawia, że artyści z którymi pracuje przekraczają samych siebie. Odkrywają w swojej grze nowe możliwości, jakby dopiero ona uświadamiała im co potrafią. Taka sytuacja była udziałem polskich muzyków - wykładowców, absolwentów i studentów Wydziału Jazzu katowickiej Akademii Muzycznej, którzy zaledwie po trzech próbach z Marią Schneider osiągnęli poziom niespotykany na polskich scenach. Doskonałość to termin - klucz do dzieła Marii Schneider, kumulujący atrybuty jej muzyki, której wszystkie składniki i ich relacje pozostają na wzorcowym poziomie. Na myśl przychodzą sformułowania o muzycznym malarstwie i naturalnym pięknie. Silesian Jazz Orchestra w sposób perfekcyjny realizowała założenia swej liderki. Pod jej mistrzowską ręką orkiestra działała jak system naczyń połączonych... jedną ideą – Piękna! Maria Schneider prowadziła zespół zniewalająco urokliwie, płynnym ruchem, niemal tanecznym gestem. Jej kompozycje to epickie opowieści. Wzruszające, urzekające urodą i muzyczną prawdą. Nieskrępowane konwencją, innowacyjne harmonicznym, porażająco logicznie strukturalnie. Wszystkie cechy tej muzyki członkowie zespołu uzewnętrzniali fenomenalnie. Komplementowanie solistów przekroczyłoby rozmiary tej recenzji, łatwiej wskazać najbardziej spektakularne ogniwa w pochodzie indywidualności. Głęboki ukłon czynię w stronę pianistki Pawła Tomaszewskiego. Polotem rasowej gwiazdy big bandowego stylu, rozmachem interpretacyjnym emanowały solówki trębacza Jerzego Małka. Stworzona na jeden koncert Silesian Jazz Orchestra stała się tego dnia zespołem Marii Schneider, jej osobistym instrumentem. A my możemy być dumni, że przez dwie godziny mieliśmy „polski” big band na światowym poziomie.

JAZZU DZIEŃ PIĄTY

Wielki przyjaciel festiwalu i jego wyjątkowy konferansjer Jan Ptaszyn Wróblewski w niedzielne popołudnie wcielił się w rolę lidera sextetu gwiazd i przedstawił publiczności klubu Klimat znakomity program „Moi pierwsi mistrzowie: Komedą, Trzaskowski, Kurylewicz”. Zespół łączy kilka pokoleń muzyków emanował młodzieńczą energią a lider wydawał się być w życiowej formie. Potężny ton jego tenoru, swoboda improwizacyjna, śpiewna narracja zyskiwały uznanie i konkurowały jedynie z gawędziarską swadą Ptaszyna, który w tej dziedzinie jest klasą sam dla siebie. Znakomite combo tworzyli wieloletni współpracownicy lidera: altista Henryk Miśkiewicz, trębacz Robert Majewski i pianista Wojciech Niedziela, wsparci talentem młodszych kolegów: kontrabasisty Sławomira Kurkiewicza i perkusisty Marcina Jahra. Sięgnięcie z respektem i inwencją po kanoniczny repertuar polskiego jazzu lat '60 potwierdziło jego oryginalność i wysoki poziom kompozytorski. Ostatnim akordem festiwalu był tradycyjnie koncert w schronisku na Szyndzielni. Tym razem oczekiwał tam na słuchaczy gruziński zespół ZumbaLand. Muzycy adaptowali tradycyjne melodie rodzimego folkloru do współczesnych trendów wykonawczych. Mieszali przy tym wiele konwencji, łącząc funkujące gitarowe rify i pochody basu z rockową perkusją, a subtelne frazy fletu splatając ze smooth jazzową elektroniką klawiszy. Spajał tę fuzję śpiew lidera odwołujący się do tradycyjnej artykulacji. Dobrze przyjęty przez publiczność koncertowy epilog festiwalu mnie jednak nie zdołał przekonać. Zabrakło mi w tej

eklektycznej wizji nowatorskiego spojrzenia. Ponadto pełna po brzegi sala nie stwarzała dla wszystkich słuchaczy komfortowych warunków do uczestnictwa w koncercie. Ufam, że w przyszłości te niedogodności zostaną przezwyciężone.

ŚWIĘTO MUZYKI

Jaki był Lotos Jazz Festiwal 2012? Czy utwierdził swoją wysoką pozycję? Wydawałoby się, że sukcesem jest fakt iż ośrodek leżący z dala od wielkomiejskich centrów kulturalnych organizuje festiwal o tak bogatym programie. Jednakże Bielsko-Biała od wielu lat gości jazzowych artystów z najwyższej półki. Moim zdaniem obecność Marii Schneider potrafi każde wydarzenie muzyczne zmienić w święto muzyki i z tej perspektywy festiwal był okazją do niezwykłych przeżyć. Jeśli dodać do tego spotkanie z ikoną amerykańskiego jazzu Archie Shepp'em i zjawiskowy koncert kwintetu Ambrose'a Akinmusire nie powinno się narzekać na brak atrakcji. Oczywiście można a nawet należy dyskutować czy tzw. procent jazzu w jazzie był należyty a wydarzenie nie traci z wolna swej identyfikacji gatunkowej. To już jest jednak kwestia proporcji, które w tym roku zostały niebezpiecznie zachwiane. Teraz pozostaje mieć nadzieję, że piętnasta – jubileuszowa „Zadymka” będzie obfitować w wydarzenia premierowe i artystycznie bezdyskusyjne.

PIOTR BOBIŃSKI